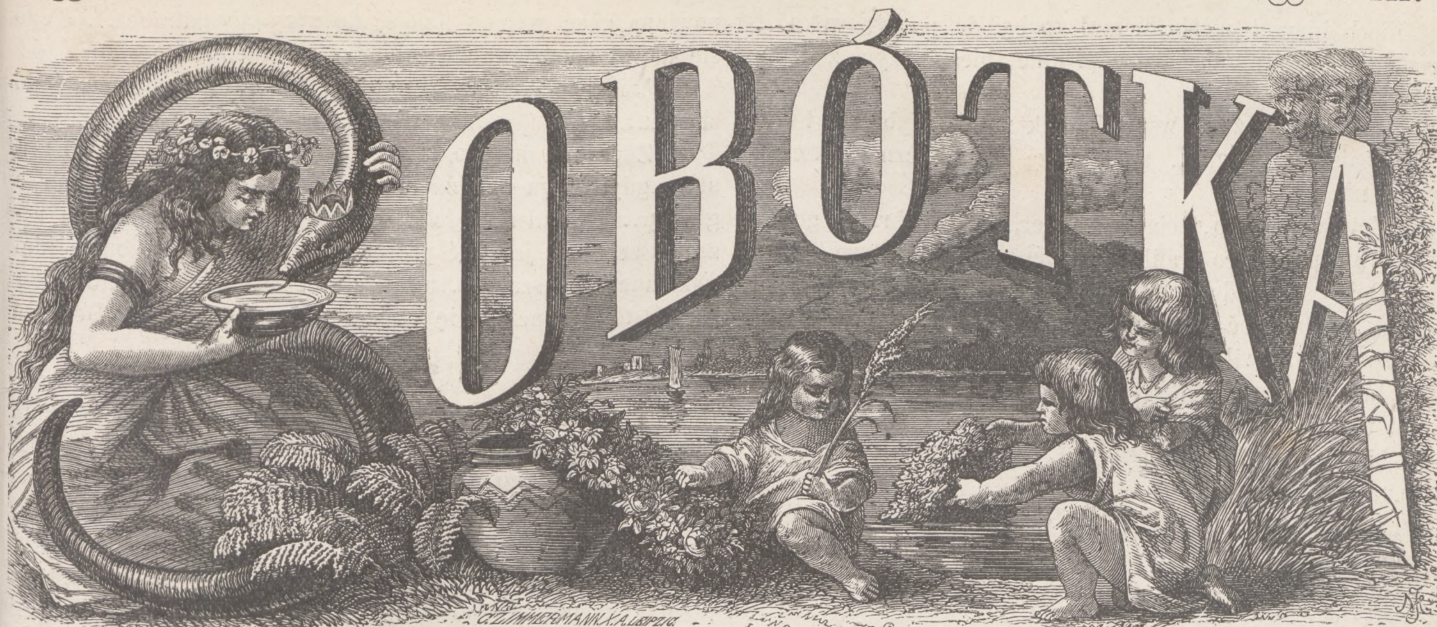
Nr. 20. Poznań, dnia 13. Maja 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1½ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

PAŁAC I FOLWARK.

Obrazy naszych czasów

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Doktor wziął paleto, laskę, kapelusz i wyruszył. Znał on Ostójskiego dosyć dobrze, — ale nie tyle by mógł przewidzieć jak on ten interes widzieć będzie. Sprzedaż imion i handel majątków na tytuły jest rzeczą tak pospolitą i dziś zwykłą, że się nawet po dziennikach trafiają ogłoszenia hrabiów oświadczających iż gotowi są mojżeszowego wyznania się nie wzdrygać, dla stu lub dwóch kroć sto tysięcy. Feller który o niejednéj podobnéj historyi słyszał, sądził iż i tu rzecz będzię możliwą — a w handlu gniewu niemasz, powiada przysłowie — pociągnął więc na folwark. W ganku zastał pana Ostójskiego rozmawiającego z włodarzem swym i zakłopotanego... Zobaczywszy doktora, gdy go poznał — zawołał:

„A to pan kochany! co za gość! proszę do mnie, proszę..."

Zaprowadził go, domyślając się już jakiegoś interesu, do swojego pokoju, usiedli tu...

„Cóż? w smutną chwilę przybyłeś tu szanowny doktorze," rzekł Ostójski, „jak prawdziwy doktor, ale pono z choroby téj na jaką się w pałacu pochorowali, wyprowadzić ich trudno. Zastarzała! cha! cha."

Ostójski westchnął.

„Do kata, że i my jeszcze odpokutujemy za nich..."

Feller był milczący, sparł się na lasce, mruczał pół słówka, myślał jak to do interesu przystąpić.

„Tak," rzekł, „smutna w istocie rzecz widzieć tak upadającą starożytną rodzinę, krajowi zasłużoną... bardzo smutno..."

„Jak sobie posłali tak się wyśpią," rzucił Ostójski, „od dawna to było przewidziane... tańczyli tak aż do brzegu przepaści. Teraz ratunku niema."

„Zapewne, zapewne, trudny, nie przeczę, ale jeśli się młody hrabia zaofiarować zechce..."

Ostójski drgnął, wyprostował się i milczał, coś go tknęło.

„Młody człowiek, z takiem pięknem imieniem," mówił Feller, „przystojny, wykształcony — mógłby się łacno i bogato ożenić."

„A, zapewne, zapewne, niechby się żenił! W istocie to jedna rada!" rzekł Ostójski kręcąc palcami...

„Któżby niechciał się skoligacić z rodziną tak znakomitą... na dworze położoną dobrze, mający stósunki ogromne..."

„Ogromne stósunki!" wtórował Ostójski.

„Może wziąść z pół miliona talarów, byle skinął..." mówił Feller.

Niech bierze! niech bierze! to będzie po synowsku... i rodziców wyratuje... bardzo pięknie, niech uczyni z siebie ofiarę...“

„Cała rzecz, że to wszystko tak nagli, gdyby nie to...“

„W istocie nagli... sprzedadzą z publicznego targu, bardzo nagli.“

„Z tego powodu,“ ciągnął Feller, “młody hrabia gotów by, gdyby mu się co trafiło, i mniéjszem kontentować...“

„Dobry syn! dobry syn... niech się kontentuje czem kolwiek, byle choć fundum ocalić — pałac tak piękny, pamiątkowy...“ mówił Ostójski.

„Ja ręczę że sto tysięcy talarów mająca panna, mogła by go teraz mieć...“

„Myślicie?“ spytał Ostójski, “to dla nich byłoby mało.“

„Landszafta pokryłaby resztę,“ rzekł Feller, a przy dobrem gospodarstwie...“

„No, tak! zapewne! zapewne,“ wzdychając dodał gospodarz, w ostateczności..“

Feller zażył tabaki, zdawało mu się, że rzecz była bardzo dobrze rozpoczęta.

„Coś mi mówiono,“ począł, „że hrabia Edmund bardzo był czuły dla pańskiéj córeczki? nie dziwiłbym się... nie dziwił..“

Ostójski zrobił minę dziwną, gębę wykrzywił, ściągnął, podniósł i wymówił niezrozumiałego coś.

„Cóż wy myślicie dać córce posagu?“ spytał Feller.

„Ja? Zosi — a no“ — rzekł Ostójski, „bez remanentów które też coś warte, myślę że weźmie 120 tysięcy...“

„No, to rzecz byłaby może do zrobienia, gdybyście sobie życzyli?“

Gospodarz zapatrzył się na palce które były w ciągłym ruchu — i nic nie mówił.

„Myślicie?“ spytał, „że rzecz byłaby do zrobienia... hm?“

„Tak dalece,“ począł przysuwając się Feller... „iż poufnie wam wyznam, jestem posłany dla wyrozumienia was.“

„No proszę? dla wyrozumienia!“ powtórzył Ostójski.

„I jeśli zechcecie, możecie miéć wnuki hrabięta... a córkę.“

„Hrabiną!!“ uroczyście dodał Ostójski, „djabli interes, dla takiego jak ja szlachetki i to taniej grzyba. Za nędzne sto tysięcy talarów... pokusa! Doktorze, pokusa... Jakże? zgodziliby się.“

„Są zmuszeni“, szepnął Feller, nic się im innego nie trafia.“

Ostójski począł trzeć brodę i wąsy.

„Naturalnie“, mówił coraz ośmielając się Feller, „byłyby pewne warunki.“

„Naprzykład?“ spytał gospodarz.

„Widzicie, oni mają także stosunki, że oczywiście, — muszą w wyborze towarzystwa być oględni. Prywatnie familja żony używałaby praw swoich, ale w pewne dnie... nie podobna by ciążyła na hrabi, który żonę może imieniem swem uczynić godną najwyższych towarzystw, ale rodziny jéj zaślubić całéj — trudno mu.“

„Bardzo słusznie!“ mówił powoli Ostójski, „rodzina powinna znać mores i pójść do nory gdy potrzeba... Tego się nawet spodziewałem, słuszny warunek...“

„Widzicie — toby się już łatwo dało doprowadzić do skutku...“

„Zapewne, bardzo łatwo“, odezwał się spokojnie Ostójski, „gdybym ja był zapozwoleniem, kpem, a moja córka głupią... Na nieszczęście, kochany doktorze, ona ma rozum i serce, a ja choć prosty człek więcéj sobie moje niepokalane imię szacuję, niż hrabiostwo tych bankrutów.“

Ostójski począł się śmiać, widząc osłupienie Doktora Fellera.

„Na prawdę, śliczny targ dla kogo innego, tylko nie dla nas... kilka tygodni temu stary hrabia zakazał nam bywać w pałacu, posądzając o to, żeśmy bałamucili mu syna, teraz gotów by go nam dać, byle sto tysięcy!!... Ha! ha! mój doktorze, jakżeście się mogli podjąć takiego targu?? prawda — nie znaliście mnie dobrze, a ludzie są różni.“

„Za pozwoleniem“, zawołał zmięszany adwokat, „tu niema ani nadzwyczajnego nic, ani czem byście się mieli obrażać. To po prostu interes. Wy jesteście obrażeni... A — któż wie? może córka wasza ma inne przekonania?“

„Słuszna uwaga“, rzekł spokojnie Ostójski i podnosząc głos zawołał:

„Jakóbek!!“

Chłopak zjawił się we drzwiach.

„Proś tu panny Zofii.“

W milczeniu przerywanem tylko prychaniem ze śmiechu Cześnikiewicza, doczekali się przybycia Zosi, która wbiegła, zobaczywszy Fellera, ukłoniła mu się i zbliżyła do ojca.

„Ten pan ma do asińdzki interes“, rzekł ojciec chłodno.

Feller się kłaniał i twarzy pergaminowéj usiłował nadać wyraz przyjemny.

„Przepraszam“, ozwał się, „właściwie byłto interes do papy...“

„Nie, nie do mnie“, zaprzeczył Ostójski, „do panny Zofii — hrabia Edmund oświadcza się przez usta swego posła, iż zgadza się poślubić cię, bylem ja mu zapłacił sto tysięcy talarów i dał słowo, że w pałacu nie będę bywał, tylko przez garderobę... No, chcesz? masz hrabiowską koronę.“

Zosia zmarszczyła się zrazu, a potem się zaczęła śmiać.

„Państwo sobie ze mnie żartujecie.“

„Ale nie — szczera prawda“, rzekł ojciec, „jakem szlachcic.“

„Wolałabym żeby to był żart“, przerwała Zosia, „bo w takim razie nie byłabym zmuszoną gniewać się i oburzać.“

Zakręciła się i podeszła do ojca, jakby u niego opieki szukać chciała.

„Dziwi mnie, że wy, panie, z waszym wiekiem i doświadczeniem, zgodziliście się“, poczęła z uwagą, iść z taką propozycyą do nas... Należymże do jakiejś kasty upadłéj, która potrzebuje rehabilitacyi, która ma płacić za prawo obywatelstwa w salonach, które dla niéj nie są wcale pociągającemi?“

„A wiesz że pan“, rzekła coraz żywiéj, „że gdybyście

wy nam dawali nie sto, nie trzykroć, ale miliony, ja bym nie oddała ręki temu dla kogo nie mam ani przywiązania— ani szacunku...“

„Daj już pokój, ma dosyć“, przerwał ojciec, „niema się co burzyć... Dziękujemy za honor i kwita...“

Feller zmięszany, wziął za kapelusz i począł przepraszać.

„Ja się na pana nie gniewam“, rzekł Ostójski, „oni to winni iż panu nastręczyli myśl tę i przekonanie, iż z nią do nas trafić można. A — prócz tego — gdybym był złym człowiekiem, powinienbym podziękować, boć mi przyniósłeś wieść, iż ja sobie pałac ten i dobra kupić mogę za sto tysięcy... A na co mi dodatku hrabia?“

Feller wyniósł się co najprędzéj.

Panna Klara która coś przeczuwszy za bocznemi drzwiami podsłuchiwała, weszła w majestacie całym oburzenia i gniewu.

„Ślicznie rodzic i córka postąpili sobie“, zawołała, „odepchnęliście szczęście, które wam samo w ręce szło... O zaślepieni! Śmiejcie się, drugi raz nie przyjdzie ono... Żadnéj wzniosłości uczuć, nic szlachetniejszego w duszy... Na co wam Bóg dał pieniądze ja niewiem... Śmiejcie się — ja płaczę i nie taję się. Los się Zosi nastręczał... a teraz...“

„Teraz, mościa dobrodziejko, zostaniemy hreczkosiejami jak byliśmy. Ja zaczynam pracować na drugie sto tysięcy i Zosia będzie miała przyjemność odmówić jakiemu księciu...“

Ostójski śmiał się serdecznie.

„Alem go zażył, kochanego doktora — alem go zażył... wyspowiadałem do ostatniego słówka... dopiero gdy się wyszeptał... Ha! ha...“

Zosia milcząc łzę otarła... popatrzyła w okno, kędyś daleko... i westchnęła.

Pannie Klarze dano się wywnętrzyć z całą jéj retoryką... co jéj pewną ulgę sprawiło.

Gdy piorun w borze dąb obali, padając gniecie on sobą co dokoła pod cieniem jego rosło, tak samo rodzina około któréj skupiało się ludzi wiele, ruiną swą pociąga wszystko co się przy niéj gromadziło.

Wieść o katastrofie błyskawicą pobiegła po dworze, po okolicy, witana zdziwieniem, przerażeniem, obawą o samych siebie tych, co zaufawszy tak na pozór świetnemu bytowi, swoją do niego przytulili dolę. Każdy w téj chwili popłochu szukał naturalnie ratunku naprzód dla siebie, każdy się zakłopotał o to co się z nim stanie.

Hrabia, hrabina, syn co od lat wielu rozdzieleni byli, w nieszczęściu zmuszeni zostali zbliżyć się, radzić — ratować. W istocie ratunek był tém trudniejszy, iż wypadek całkiem schwycił niespodzianie, wszyscy się oni łudzili pozorem dostatku, nigdy nie zadając sobie pracy wejrzeć w stan interesów. Nie obwiniali wszakże siebie, spadała wina na nieszczęśliwego Margockiego cała. Po cichu hrabia przypisywał upadek zbytnim wydatkom żony, ona jego pasyi do gry i koni... Część grzechu spadała na hr. Edmunda, który téż szafował groszem...

Rozpisano listy do rodziny wołając o pomoc... ale te pozostały bez odpowiedzi. Hrabina płakała, hrabia rozpaczał, Edmund jako jedyną deską wybawienia podsuwał swoją myśl ożenienia.

Odpowiedź którą przyniósł Feller, złagodziwszy ją znacznie, została powitana grobowem milczeniem, Edmund zaciął wargi, spojrzał na ojca i oświadczył, że jutro jedzie do stolicy.,.

Margocki zaledwie wstawszy po żółtaczce, kazał rzeczy swe spakować i poszedł pożegnać hrabinę, która go nie przyjęła, hrabia przez kamerdynera życzył mu szczęśliwéj drogi, oświadczając że się widziec nie będzie... Skromnym wózkiem wyruszył plenipotent, a przejeżdżając około folwarku smutny, kazał się tu zatrzymać. Chciał Ostójskiego pożegnać.

„Cóż to się z wami stało, panie dobrodzieju!“ krzyknął zobaczywszy go Cześnikiewicz...

„A! no — widzicie, odchorowałem pokutą za cudze grzechy“, — westchnął plenipotent. „Nie chcieli mnie słuchać, brnęli, brnęli, a teraz winę walą na mnie. Taka to sprawiedliwość, gdyby nie ja, dawno by już się to stało, co dopiero teraz ich spotkało...“

„Straszneś asiedziéj z żółkł i wymizerniał“, rzekł Ostójski, „ale cóż — trzeba się z wolą Bożą zgodzić. I ze studni woda się przybierze... Nas to także dotknie, bo z dzierżawy ruszyć się musiemy.“

„Po co?“ spytał Margocki, „pewnie folwarki sprzedawać będą pojedyńczo, to go sobie i z pałacem kupicie.“

„Z pałacem, nie“, rzekł Ostójski, „obawiałbym się go aby mi się od niego stary łeb nie zawrócił — a mnie on po co? a mnie to na co? Uchowaj Boże... Żyliśmy we dworku po Bożemu, zostaniemy w nim póki życia...“

Margocki westchnął jeszcze do niedawnych swoich marzeń o Zosi... i pojechał... Panna Zofia nie wyszła, a panna Klara zajęciem się wymówiła.

Hrabina, która piękne oczy do reszty wypłakiwała i zapomniawszy o paryzkich kosmetkach, postarzała nagle, oświadczyła, ściskając ją, włoszce, iż się rozstać muszą. Carita uroniła także łezkę, uściskała swą dobrą panią i oświadczyła, że jéj w téj chwili opuścić nie chce i nie może... Zagadkowa ta istota nie kwapiąc się na powrót ani do Włoch, ani do Paryża — szeptała, że może tu w kraju znajdzie sobie miejsce nauczycielki muzyki lub guwernantki. Ks. kapelan sam także niepewien co z sobą uczyni, przez miłość chrześcijańską zajmował się mocno jéj losem i obiecywał, że miejsce jakiego sobie życzyła, da się wyszukać.

Porzuciwszy wikaryą, był on téż w niemałym kłopocie w pierwszéj chwili, lecz ufny w stósunki, wyruszył natychmiast do miasta, aby się o inne wystarać miejsce.

Ks. Kanonik powróciwszy ze swéj podróży, nie najlepsze przywiózł wiadomości i choć się przed siostrą taił z niemi, sposępniał bardzo. Miał on tam u wielkiego ołtarza starych znajomych, towarzyszów i przyjaciół, ale nowy obrót rzeczy wyrugował ich z zajmowanych stanowisk — odebrał im wpływ i nie tajono przed nim, że zagrożonym będzie losem wielu innych swych współtowarzyszów, jeśli pewnych ustępstw z przekonań nie uczyni, od pewnych ludzi się nie cofnie, rękojmi nie da absolutnego posłuszeń-

stwa nawet w tych rzeczach, które zwykle woli każdego się pozostawiają.

Ks. Kanonik nie mógł przyobiecywać czego mu sumienie dotrzymać nie dozwalało. Wysłuchał gróźb, przykładów, zmilczał, pożegnał się i wyjechał. Stanie się co Bóg da — wola jego święta.

Nie tajono mu, iż szukano tylko najmniejszego powodu, cienia winy, aby go usunąć. Między innemi popularność zbyt wielka u ludu, troskliwość o jego losy, miłość ogólna za winę mu były poczytywane... Znajdowano że zbyt był tolerującym, a na ostatek najśmiertelniejszym grzechem jaki mu zarzucono był dowiedziony wstręt jego do zakonu ojców jezuitów i uchylanie się od wszelkiéj z nim styczności. W tym czasie jakoś przypadły wybory, w których wszelkie współdziałanie, rada i pomoc świeżo były duchowieństwu najsurowiéj zakazane. Zakaz ten jakkolwiek z tradycyami kościoła nie zgodny, kanonicznie nie uprawniony — należało poszanować, zostawując zań odpowiedzialność tym co go wydali. Tak postanowił Kanonik, lud wszakże nawykły biedz do niego po radę, obległ go, wybłagał, zmusił do przemówienia słów kilka... Zdaje się że na to tylko oczekiwano i jednego ranka papier z konsystorza pieczęcią zwiastował mu suspensę a rozkaz zdania probostwa nowemu administratorowi. Przypadło to właśnie równocześnie z podróżą ks. Wikarego do miasta i ex-kapelan pałacowy zmuszony został, przyjąc administracyą.

Gdy rozkaz ten nadszedł, Kanonik zrazu jakoś oczom swoim nie wierzył; łza mu się zakręciła w oczach, popatrzał na lipy i domek, na kościołek... i poszedł do siostry.

„Siostruniu kochana“, rzekł przybierając ton wesoły, „kogo Pan Bóg kocha, temu krzyże z syła. Dostaliśmy i my krzyżyk z łaski Jego... ale go trzeba nosić błogosławiąc... Odebrano mi moje probostwo. Ale to nic... to nic. Jam już stary... Dworek najmiemy w miasteczku, przecie mi na kościołek patrzeć, i w moim drogim modlić się nie zbronią. Plebania nawet była wilgotna... ty byś była dostała reumatyzmu... a mój by się pogorszył...“

Staruszka rozpłakała się, zakryła oczy rękoma, lecz prędko niechcąc brata rozrzewniać bardziéj utuliła się, łzy zostawiając na noce samotne.

Wieść o odjęciu probostwa Kanonikowi rozeszła się szybko i zrodziła oburzenie, zdziwienie, potem wywołała większe niż kiedykolwiek oznaki miłości i szacunku powszechnego, które stokrotnie za doznaną krzywdę zapłaciły. Włościanie z okolic, mieszczanie, lud, szlachta, płynęła na probostwo ofiarując usługi, pomoc i współczucie serdeczne... Niestety — gorące te demonstracye, pogorszyły jeszcze sprawę Kanonika, bo je poczytywano za wywołane przez niego, chociaż się od nich wypraszał jak mógł.

Jednym z pierwszych którzy przybiegli na probostwo, był Ostójski z Zosią. Szlachcic bez ceremonii klął intrygantów co wlazło.

„Jeśli mnie ks. Kanonik choć odrobinę kochasz, jeśliś mi przyjacielem, jeśli mam łaskę u niego — nie jedź nigdzie, nie przyjmuj, nie najmuj nic. Gotowa rzecz czeka. Mam dworek w mieście, kupiwszy z musu za dług, który mi kością w gardle stoi — wyjm mi tę kość z gardła. Pustka! rujnuje się, pada — zrobicie mi prawdziwie przyjacielską posługę biorąc go sobie.“

To mówiąc ściskał i wołał coraz głośniéj. Inaczéj być nie może, tak mi Panie Boże dopomoż! Będę się gniewał śmiertelnie... musicie...

Zosia nalegała na matkę Juliana, ale ta nigdy woli swéj mieć nie chciała i z radą żadną nie śmiała się odzywać. Kanonik pod naciskiem Ostójskiego, odpowiedział podziękowaniem, ale stanowczo nie przyjął ofiary.

Dworek o którym mowa — stary w istocie, nadrujnowany, ale z pięknym ogrodem i drzewami, wziął Ostójski po mieszczaninie który u niego był tysiąc talarów pożyczył, dopłacając rodzinie. Nie mieszkał w nim nikt bo go Ostójski na wszelki wypadek trzymał, gdyby go jaka burza wygnała z folwarku. Dla Kanonika i jego siostry był za obszerny nawet. Położony u stóp wzgórza na którem wzniesiony był kościołek, w niewielkiem od niego oddaleniu, miły był tém, że z okien jego widok rozciągał się na kościół, starą plebanią i okolicę... Schronienia dogodniejszego niemógł znaleść Kanonik.

Na pierwszą więc chwilę miał już choć dach nad głową, tém potrzebniejszy, iż nowy administrator zjechał zaraz i niewidząc się z ks. Kanonikiem, przez przywiezionego nowego organistę oświadczył, że probostwo na mieszkanie zająć jest zmuszony.

Tegoż samego wieczora stary Eliasz, który z wielkiego gniewu ledwie mógł mówić, oświadczył Kanonikowi, iż miejsce kościelnego rzuca i z nim się razem oddala.

„Nie, mój stary“, rzekł Kanonik, „proszę cię, żebyś tego nie uczynił — służyłeś kościołowi nie mnie, nie opuszczaj naszych kochanych ołtarzy. Któż je przybierze? kto je tak troskliwie oczyści i ustroi jak ty?... Znieś chwilę przykrą, poddaj się woli wyższéj... zostań, proszę cię zostań. Boję się o kościół — tam wszystko com ja starał się posklejać i poznosić powyrzucać zechcą, ty może obronić potrafisz...

„Ojcze! panie! oni mnie tu zjedzą! oni mnie życie zatrują...“

„Kochany stary... pokorą, pokorą, powolnością wiele się czyni. W milczeniu, spokojnie zostań przy obowiązku... jeśli cię rugować zechcą, przyjdziesz do mnie. Ja się nie wiele oddalam — tu pod górą, najmę dworek u Ostójskiego.“

Eliasz zapłakał, do kolan się skłonił, nie rzekł już nic, bo niechciał się sprzeciwiać... Nazajutrz nastąpiły przenosiny. Niewiele one kosztowały czasu, bo sprzętu część należało do probostwa, a własność ubogiego Kanonika była bardzo skromna. Zaprzeczono mu wielu rzeczy do których miał prawo — ustąpił bez sporu... Modlił się w ganku patrząc na tę rumacyę, która mu serce rozdzierała, nareszcie spostrzegłszy siostrę, która z zapuszczoną zasłonką głową, wyszła ubrana jak w drogę, ruszył się z ławki... Wejrzeniem pożegnał probostwo i skierował ku kościołkowi. Ten był zamknięty, klękli pomodlić się w progu... Eliasz za niemi... Gdy Kanonik wstał pogodną miał twarz i uśmiechnięte usta — ofiarował Bogu... boleść w jego usługach zyskaną — lekko mu było, bo nic sobie do wyrzucenia nie miał.



Zatoczenie kartaczownicy na bateryę Montmartre.

Zaszli powoli z góry ku pustemu dworkowi, gdzie Ostójski czekał z chlebem i solą, Zosia z przygotowanym podwieczorkiem, a Klara z wymownem słowem pociechy.

Jednakże mimo wszelkich starań o złagodzenie wrażenia, które przenosiny te uczynić musiały — wszystkim jakoś było smutno. Ostójski niekiedy stawał w oknie i patrzał na probostwo z groźbą w oczach... jakoby chciał nowemu panu powiedzieć — nie będzie ci tam gładko!

Wistocie, Wikary nie wielu znany bliżéj, a nikomu miły, zgotował sobie zastępując usuniętego Kanonika życie wcale nie do zazdrości. Lud który miał zaufanie w starym przyjacielu, stronił od probostwa a szedł do dworku, szlachta umiejąca szanować cnotę, okazywała wszystka zimną obojętność zastępcy. W niedzielę mimo zaproszenia, w święto nikt ani zaszedł na probostwo. Wikary-administrator został odosobniony i naturalnie przypisywał to intrygom Kanonika, chociaż ten najmniejszego nie miał udziału w niczém i słowem żalu nawet nigdy się nie odezwał.

Stosunki z folwarkiem były jak najściślejsze, z plebanią tylko przez Eliasza jeszcze miał jakąś styczność Kanonik. Rano bardzo zwykle mszą świętą odprawiwszy, wracał do dworku i tam nad brewiarzem lub książką przesiadywał dzień cały, wieczorem często bywali z siostrą na folwarku.

(C. d. n.)

Pogadanki o przemyśle i przyrodzie.

Świat roślin.

(Dokończenie.)

W życiu rośliny są dnie szczęścia i pomyślności, dnie cierpienia i smutku. Dzieje te wyczytujemy nie ze zmarszczek ich twarzy, ale z kręgów spółśrodkowych, pełnych i regularnych, lub wątłych, z biedzonych, które rysują lata na drzewie. One także mają dnie szczęścia; tajemniczo się kochają i ślubują. Patrz np. na biały kwiat wodny. Damy, strojne zalotnice rozrzucają swe wdzięki na powierzchni wody a z dnem łączy się łodygą spiralnie ułożoną. Mężowie skromniejsi, wiodą żywot na dnie u nóg żon. Kwiaty samotne i niespokojne oczekują niecierpliwie w świątecznym stroju godziny słodkiéj, kiedy natura obdarzy je macierzyństwem; zdaje się czasem, że blledną z nudy i cicho gwarzą o swych niepokojach.

Ale oto na zegarze nieba godzina pożądana bije. Kwiaty męzkie rwą nagle łańcuchy przywiązujące je do stóp przyjaciółek, wzbijają się jak motyle aż do powierzchni i owijają białą swą koroną kwiat drżący; następnie łodyga się kurczy — kwiat został matkę i dla pielęgnowania owocu swéj miłości schodzi na dno wody.

A godziny te są gorączkowe i pełne wzruszeń; zdawałoby się, że krew szybko obiega w ich przezroczystych żyłkach. Czyż roślina nie doznaje słodkiéj radości przenikającéj jéj istotę, kiedy tysiące kwiatów złączonych razem miesza w powietrzu swe czarujące parfumy? Niektóre kwiaty, w czasie swego kwitnięcia rozwijają ciepło nadzwyczajne. Pewna ślepa staruszka wyszła do ogrodu i chodząc po alei rwała kwiaty przy niéj rosnące. Jakież jéj było zdziwienie, kiedy wziąwszy ręką za jeden z nich, uczuła, że był rozpalony. Są kwiaty, które się rozgrzewają do 24° powyżéj temperatury powietrza.

Te objawy życia nam nieznanego, zmuszają filozofa uznać, że świat roślin łączy się z powszechnym chórem świata. Świat ich ma rzeczywistość żyjącą, harmonijną i słodką, i chociaż stoi poniżéj stopnia zwierząt, zdaje się marzyć oczekując doskonalszéj przyszłości. Zaiste, nienależy w tych badaniach upaść w ostateczność i na wzór starożytnéj szkoły przyznawać roślinom zdolności wyższe, podnosić je do znaczenia ludzkiego — nie — rośliny nie są zwierzętami ani ludźmi; przestrzeń nieskończona dzieli je od nas; ale żyją one życiem którego ocenienie przechodzi naszą możność. Roślina nietylko że odgrywa wielką rolę w ogólnéj harmonii świata ziemskiego, ale nawet wśród półsnu swego jest czynną i pracowitą. Pisze ona rozdział wielkiéj synthezy: dążenie do ideału i do światła. Jest ona zarazem historyą i poematem natury; pożywieniem, parfumą i strojem ziemi. Żyje ona dla wszystkich i bezwątpienia dla siebie. Żyje w końcu, i jeżeli byłaby możliwość zejścia do jéj świata tajemniczego, jeżeli moglibyśmy wysłuchać szeptów małych kwiatów i drzew wielkich, zdziwienie nasze przeszłoby oczekiwanie.

Natura dotąd nazbyt jest jeszcze mało znana, i skutkiem właśnie téj nieznajomości za mało kochana. Sądzą ją zwykle po złudnych cechach zewnętrznych; przyglądają się korze drzewnéj, bez wniknięcia w pulsy jéj życia; oddychają parfumami kwiatu, nie wchodząc i nie badając tajemnicy, która drży na dnie pachnącéj korony jego; marzą patrząc w gwiazdy, i nie przywołują ku sobie tych światów nieznanych, które królują w przestrzeni. I my żyjemy na ziemi nie myśląc o tém, że ona jest niewyczerpanem źródłem wszystkich naszych roskoszy i miłości! Jedno źdźbło trawki więcéj nas pouczy aniżeli historya ludzkości i wszystkich jéj wojen od czasów Romulusa do ostatniego Cezara. We wszystkich cudach cywilizacyi, nie znajdziemy tak bogatego przepychu jak w stroju łąki kwiecistéj. We wszystkich dziełach muzycznych wielkich mistrzów nie znajdziesz jednéj melodyi zdolnéj rywalizować ze wschodem słońca. Niemasz salonu ani fresków w nim równie strojnych, jak firmament nocy gwiazdzistéj.

Z własnéj woli zaślepieni pozbawiamy się w życiu tych roskoszy, jakie na każdym kroku wkoło nas rozrzuca natura.

Dzieła natury łączą się z sobą węzłem niewidzialnym — tak jak się łączą nuty jednéj partytury. Czyż człowiekowi nie przystoi wsłuchiwać się w wielką melodyę, która brzmi tak uroczyście w całym wszech-świecie. Nie sądźcie że między nauką ścisłą i poezyą jest antagonizm. Poezya ożywia naukę — nauka jest niewyczerpanem źródłem do na-

tchnień poetycznych. Piękno jest formą prawdy; prawda jest zawsze piękną! Czyż nie będzie błędem, pytam, uważać poezyę jako należącą do krainy bajek, do uczuć wyegzaltowanych, do abberacyi umysłu chorego? Błędną jest również nauka, której działanie ogranicza się na szkielecie martwym. Poezya długo uświęcała fikcye mniéj lub więcéj dowcipne, mniéj lub więcéj pożyteczne; pozwólmy jéj dzisiaj opiewać cudowną naturę — wiecznie godną naszego zachwytu! I wchodząc do tego przybytku prawdy, nie dziwmy się jeżeli istotka mała, niewidzialna, odkryje tajemnice, które poprzednio zdawały się nam nieprawdopodobne.

Dr. C. F.

KASZTELAN.

OPOWIADANIE FRYDERYKA HR. SKARBKA.

(Dokończenie.)

Ale gdy w dni kilka po tym wieczorze przyszedł do nas, domyśliłam się że musiało zajść coś nieprzyjemnego między nim a czuwającymi nad nim krewnymi, bo się oburzenie malowało na jego twarzy i że czuł potrzebę wynurzenia nam powodów swojéj niechęci. Jakoż usiadłszy przy mnie, zaczął nas wszystkich przepraszać, za niegrzeczność i przycinki generałowéj, podczas krótkiéj wizyty jaką mu w naszéj obecności oddała.

„Niech się państwo nie dziwią temu, że moja pani siostrzenica była tak osobliwie usposobiona gdy was pierwszy raz widziała, bo ona jest bardzo troskliwa, nie o moją osobę, ale o spadek którego się po mnie spodziewa i dla tego podejrzywa najniewinniejsze dobre chęci moje dla każdéj obcéj osoby. Wystaw sobie pani, że ona panią posądza o zamiar skłonienia mnie do pojęcia pani za żonę!“

Roześmiałam się i rzekłam: „Byleby mnie pan kasztelan o to nie posądzał, to mnie podobny zarzut wcale obchodzić nie będzie, ale wolałabym unikać wszelkich pozorów do tego, jak narażać się na nienawiść pańskiéj familii.“

„Owszem — owszem, proszę panią, abyś ją utrzymywała w tém tak niedorzecznem mniemaniu, bo chcę dać nauczkę generałowéj i odpłacić jéj za wyrzuty które mi onegdaj poważyła się uczynić. Ale ostrzegam że się pani musisz uzbroić w cierpliwość aby znieść lub odeprzeć napaści których będziesz przedmiotem, bo zapowiedziała mi że potrafii zniweczyć zamiary pani.“

Spełniły się te przepowiednie; odebrałam w krótce list bardzo poważny, pełen nauk moralnych i rad przyjacielskich podpisany przez generałowę, na który odpowiedziałam dyplomatycznie, zapewniając ją o bezzasadności jéj posądzeń, ale przytém nie dawałam żadnych przyrzeczeń i nie zobowiązywałam się do niczego. Odpowiedź moja nie tylko nie zaspokoiła generałowéj, ale ją nawet bardziéj rozdrażniła. Po pierwszéj jawnéj korespondencyi, nastąpiły tajemnicze, to jest bezimienne listy, jedne malujące kasztelana pod postacią napozór tylko słodkiego, a rzeczywiście rozkapryszonego i schorzałego starca; drugie grożące mi zemstą familii gdybym nie poprzestała intryg moich.

Gdy jednak wszystkie te potwarze i groźby nie spowodowały żadnéj zmiany w naszych przyjacielskich stosunkach z kasztelanem, gdy doniesiono generałowéj, że on coraz był grzeczniejszym dla mnie, że nawet pocałował mi rękę po długiéj rozmowie ze mną, uznała przeciwniczka moja potrzebę odwołania się do pomocy sprzymierzeńca swego i poleciła panu Arturowi przedsięwziąść zaczepne działania, aby raz na zawsze zniweczyć dobre porozumienie się nasze, i odstręczyć kasztelana odemnie. Dnia pewnego gdyśmy się znajdowali u kasztelana przybył do niego, tak niespodzianie jak dawniéj generałowa, pan Artur i poprowadziwszy po nas pogardliwe wejrzenie swoje, prosił stryja aby nam go przedstawił. Przytém przybrał wyraz twarzy i powierzchowność zarozumiałego pogromcy serc niewieścich i z wymuszoną grzecznością, nie mogącą wszakże pokryć szyderskiego uśmiechu, przemówił do mnie nie zwykłym językiem salonowym, ale usiłując zniżyć się do ograniczonego pojęcia szlachcianki, którą poczytywał za istotę śmieszną i upośledzoną, w porównaniu z damami salonowemi wszelkiego stanu i wyznania wyniesionemi do wysokiego stanowiska, w towarzystwie, przez zwykłe przeobrażenie dorobkowiczów na dumnych panów.

W krótce potém przedstawił się u nas, zaczął coraz częściéj bywać, ale tylko w tym czasie gdy wiedział że się spotka z kasztelanem, i zawsze u niego bywał gdy wiedział że nas tam zastanie. Obrał on sobie mnie za główny przedmiot zajęcia, prawił mi nieustannie spowszechniałe grzeczności, na które ja z udanem rozradowaniem odpowiadałam, aby wzbudzić w nim przekonanie, że już podbił serce moje i że zdoła przekonać kasztelana iż jestem tak mocno nim zajęta, że on musi się wyrzec zamiaru zawarcia ze mną związków małżeńskich.

W tym celu nie opuszczał żadnéj sposobności odegrania w obec kasztelana roli zachwyconego kochanka, i bywał zawsze bądź u niego bądź u nas gdyśmy się razem znajdowali. Wtenczas przysiadywał się do mnie, opierając rękę na poręczy mego krzesła, nachylał się poufale ku mnie i ciągle mi coś szeptał, śledząc przytém na twarzy stryja wrażenia jakie zaloty jego na nim czyniły. Ale gdy ten się oddalał lub na nas nie uważał, stygł natychmiast w swoim zapale, wstawał z miejsca i pokręciwszy się w pokoju, brał ukradkiem kapelusz i wymykał się z pokoju bez pożegnania. Lecz gdy się przekonał że stryj zupełnie był obojętnym na jego zaloty, postanowił użyć skuteczniejszych sposobów odstręczenia go odemnie. Przechwalał się przed takiemi osobami które mogły ostrzedz kasztelana o skłonności mojéj dla synowca; kazał pisać listy bezimienne w których donoszono: że panna Dorota ma potajemne schadzki z p. Arturem. Nakoniec sam raz oświadczył stryjowi swemu że się nigdy nie spodziewał abym ja była tak zajmującą, i wyznał

że ma prawdziwą skłonność do mnie. Ale kasztelan zamiast wzruszyć się tém, pochwalił skłonność, radził aby w niéj wytrwał i uwiadomił o tém generałowę polecając jéj aby wpływem swoim skłoniła Artura aby się szczerze starał o moją rękę, i aby go sama oświadczyła, gdy na to zezwoli.

Jakkolwiek generałowa wiedziała, że Artur niemiał wcale zamiaru jaki mu kasztelan przypisywał, chwyciła się jednak téj myśli, i namawiała go na to aby doprowadził swoje obłudne zaloty do tego, iżby w obec kasztelana okazał gotowość zaręczenia się ze mną, potém będzie mógł pod jakimbądź pozorem zerwać ze mną, skoro tylko kochany wujaszek przez niewiarę moją od swoich zamiarów zupełnie odwiedziony zostanie.

Kasztelan uwierzył zrazu w szczerość wyznań Artura, bo nie znał się na obłudzie, i życzył sobie aby synowiec wyszedł z téj nicości pożycia w jakiéj młodość trawił i aby przez połączenie się z rozsądną kobietą ustalił swój los i obrał sobie stałe powołanie. Nie tylko że pochwalał zmyśloną skłonność jego, ale obiecał dać mu pieniędzy na wydatki przedślubne i puścić mu wieś w dzierżawę po zawarciu małżeństwa.

Nie mówiąc nic nikomu zamierzył on zaprosić nas, Artura i generałową do siebie na obchód imienin swoich, i w tym dniu odbyć zaręczyny nasze. Gdybym była wiedziała o tym zamiarze, nie byłabym przyjęła zaprosin, bo nie chciałam naigrawać się z uroczystości aktu, który nigdy lekceważonym być nie powinien; ale kasztelan zachował tak dobrze swoją tajemnicę, żeśmy się nie spodziewali aby obchodzona uroczystość czém inném jak obiadem skończyć się miała.

Obiad był wystawny i bardzo wesoły, zdawało się że stół jedno zgodne familijne koło obsiadło, i niktby się nie był domyślił, że przeciwnicy naprzeciwko siebie siedzieli. Mój szwagier wniósł zdrowie kasztelana a on naszéj familii i moje w szczególności.

Po obiedzie gdyśmy w salonie zasiedli, przeszedł kasztelan z Arturem do swego pokoju; a gdy po kwandransie wrócili do nas, uważałam iż oba mieli rozradowane wejrzenia, i że Artur chował pulares z wyrazem najwyższego zadowolenia, i we drzwiach pocałował w rękę stryja który, wziął krzesło, postawił naprzeciw nas, z niezwykłym wzruszeniem usiadł na niem i w następujący sposób do nas przemówił.

„Zdaje się że nie powiem państwu żadnéj nowiny, gdy wam oświadczę iż mój kuzyn Artur, przejęty jest wysokim szacunkiem i nawet żywem uczuciem dla panny Doroty i że się z tém nie tai iż pragnąłby widzieć w niéj towarzyszkę swego życia; ja przeto jako stryj jego, objawiam te jego chęci i pragnąłbym aby dziś jeszcze obie strony dały sobie wzajemne zapewnienie iż się połączą związkiem małżeńskim i w tym celu przygotowałem ten pierścionek, który mój synowiec…“ to mówiąc obrócił się rozumiejąc że Artur za nim stoi, a nie widząc go szukał go oczami po całym pokoju, zerwał się z miejsca, poszedł do przyległego i nieznalazłszy go nigdzie, wrócił na swoje miejsce, stał milczący jakby czekał na to, aby mu kto wytłomaczył nieobecność synowca.

„W ten moment wyszedł“, rzekła przerażona generałowa, „ale pewno w krótce powróci.“

„Niezdaje mi się“, dodał mój szwagier, „bo widziałem jak się cichaczem i na palcach wynosił i z kapeluszem w ręku wychodził z pokoju.“

Ja powstałam z miejsca, zbliżyłam się z uśmiechem do kasztelana i biorąc go za rękę rzekłam: „niech się pan kasztelan uspokoi, to było do przewidzenia.“

„Ale to być nie może“, zawołała widocznie wzruszona generałowa, „musiało mu się chyba słabo zrobić.“

„Niech się aby generałowéj słabo nie zrobi, z powodu niedojścia związku dla niéj tak pożądanego“, rzekł kasztelan z ironicznym śmiechem, „kiedy Artur nie chciał dać przyrzeczenia, to ja go zastąpię, i dam za siebie przyrzeczenie téj pani.“

Słysząc to zbladła generałowa i niespokojnie patrzała na wuja, który wyjąwszy z pudełka kosztowny pierścionek, zbliżył się do mnie, włożył mi go na palec i powiedział:

„Niech generałowa nie zemdleje; daję ten pierścionek pannie Dorocie, dla któréj był przeznaczony, jako zaręczenie…“ tu się zatrzymał, obejrzał na chwiejącą się generałowę i skończył: „że się z nią nigdy nie ożenię, ale go daję dla tego aby miała pamiątkę przykrości od familii mojéj doznanych, z powodu posądzenia mnie o taką niedorzeczność jak zawarcie małżeństwa w moim wieku!“

Generałowa żywo dotknięta tym przykrym wyrzutem, milczeniem gniew swój pokryła i wyszła bez pożegnania z pokoju.

My przepędziliśmy resztę wieczora w szczeréj wesołości, bośmy się uczuli oswobodzeni z pod nienawistnego wpływu, jaki oddawna familia na nas wywierała.

Z ROMANCERO I PIEŚNI HEINEGO.

Przekłady Al. K.

V.

Był raz król stary, pochyły,
Włosy miał szronem srebrzone,
Pojął on, chociaż podżyły
Młodziutkie dziewczę za żonę…

Był piękny paź w jego dworze,
Młody, jak wiosny bławaty,
Śpiewał w królowéj komorze
I trzymał rąbek jéj szaty…

Lecz straszne pieśni podboje!
Słuchajcie co było daléj:
Oto, umarli oboje…
Bo zbytnio się pokochali…

IX.

Oprzéj swe usta o moje usta
I zanuć pieśń ulubioną,
Oprzéj swe piersi o moje piersi
Niech wolnym ogniem zapłoną…

A gdy mną płomień jasny owładnie,
W ustach twych skarga zakwili,
Niechaj świat wtedy w gruz się rozpadnie,
Z nim chciałbym zginąć w téj chwili...

X.

Stałe, jak serca rzewna tęsknica,
Dumają gwiazdki na niebie —
I lat tysiące patrzą w swe lica,
Zawsze zdaleka od siebie...

Próżno już nieraz głupi astrolog
Co wzrok swój niebu porucza,
Chciał jakby nowy niebian filolog
Do słów ich dostać się klucza...

Lecz ja co gardzę nauk okowy,
Te dźwięki znam tajemnicze,
Bo dla mnie kluczem gwiazd tych rozmowy
Było kochanki oblicze...

MICKIEWICZ WE WŁOSZECH.

(Ciąg dalszy.)

Ewunia spostrzegła w ojcu wyraźne ślady nieukontentowania. Zapowiedział stanowczo, że na więcéj przejażdżek nie pozwoli; panienki bowiem opalają się na skwarze kwietniowym. Spostrzegł hrabia grożące niebezpieczeństwo, umyślił mu zapobiedz.

Serce Ewuni ścisnęło się boleśnie. Smutne pczeczucia krążyły w jéj myśli. Za powrotem zatrzymali się wszyscy w Tivoli; przebiegali zwaliska Villi Adryana, zwanéj małą Grecyą. Wśród powalonych kolumn rosły tu jeszcze przepyszne akanty i inne rośliny exotyczne, sprowadzone niegdyś z Aten do cesarskiego ogrodu. Kiedy zwiezione tu pomniki cywilizacyi greckiéj, zasłały szeroką przestrzeń, tak zwanemi ruinami ruin, ośmnaście wieków nie zniszczyło w téj bujnéj ziemi, świeżych akantów greckich. Bujnie téż tu rosła zamorska cykuta z żółtym kwiatem. Z powodu jéj wszczęła się uczona rozprawa o Sokratesie.

Widok jadowitego ziela, przykro oddziałał na wrażliwy umysł Ewuni. Przykrzéj jeszcze uderzoną była, gdy zajrzawszy do jakiéjś groty, spostrzegła ogromną żmiję białą w centki czarne, podniesioną w górę na kilka stóp, z świecącemi oczyma i ostrym jak szydło językiem. Adam oderwał ją gwałtem z tego miejsca, lecz obraz owéj żmii ścigał ją bez ustanku. Dzień ten smutno się odbił w jéj pamięci. Grad przeczucia wcisnął się do Edenu, stworzonego młodą jéj wyobraźnią.

Jak hrabia zapowiedział, była to ostatnia dalsza wycieczka w tym roku. Nie wzbraniał jednak przechadzek po Rzymie, powtarzających się prawie codzień. Ewunia jak mówiliśmy, znała wybornie starożytności rzymskie; ona to tłumaczyła je Adamowi. Hrabina z upodobaniem przewodniczyła tym przechadzkom. Zwiedzali razem zwaliska pałacu Cezarów, pokryte festonami bluszczu i róż pnących. Adam przezwał je willą Ewuni. Obok nich upatrzył sobie prześliczną willę Niels, pokrytą niemniéj splotami róż: tę nazwał willą Adama.

Razem też przebiegali cytadellę świętego Anioła pełną średniowiecznych pamiątek. Podanie o ściętéj w tém miejscu Beatrycie Cinci, szczególniéj uderzyło wyobraźnię poety. Zdawało się, że je weźmie za przedmiot do nowego utworu. Myśl ta spełzła na niczém. W ostatnich dniach przed rozłączeniem, zwiedzali galerye Watykanu przy pochodniach. Na to trzeba osobnego pozwolenia, które nie łatwo się otrzymuje. Nic piękniejszego, jak te posągi dłuta pierwszorzędnych mistrzów, oświecone różowém światłem: zdaje się jakby krew płynęła w marmurze. Adam szedł przy Ewuni. Słuchał pilnie jak mu opowiadała historyę i znaczenie tych arcydzieł. Czoło jego promieniało natchnieniem, na widok owych cudów geniuszu ludzkiego. W tenże sam sposób przy księżycu i pochodniach, zwiedzili Kolosseum. Ewunia czuła się szczęśliwą: hrabina niemniéj była zadowolona: zasępiony wzrok hrabiego psuł tylko ogólną harmonię.

Po owych to wycieczkach, Adam napisał wiersz: Do mego Cicerona w Rzymie.

Mój Cicerone, oto na pomniku
Jakieś niekształtne, nieznajome imię,
Wędrownik skreślił na znak że był w Rzymie,
Ja chcę coś wiedzieć o tym wędrowniku.

Może go w krótce przyjmie do gospody
Kłótliwa fala, może piasek niemy
Zatai jego życie i przygody,
I nigdy o nim nic się nie dowiemy.

Ja chcę odgadnąć co on czuł i myślił,
Gdy w księdze twojéj wśród włoskiéj krainy,
Za cały napis to imię wykreślił,
Na drodze życia ten swój ślad jedyny.

Czy drżącą ręką po długiém dumaniu,
Rył go powoli jak nagrobek w skale,
Czy go odchodząc uronił niedbale,
Jako samotną łzę przy pożegnaniu.

Mój Cicerone! dziecinne masz lice,
Lecz mądrość stara nad twém świeci czołem;
Przez rzymskie bramy, groby i świątnice,
Tyś przewodniczym był dla mnie aniołem.

Ty umiesz przejrzeć nawet serca z głazu
Gdy błękitnemi raz rzucisz oczyma,
Odgadnąć przeszłość z jednego wyrazu,
Ach! ty wiesz może i przyszłość pielgrzyma!

Temu ślicznemu wierszowi, nie ustępuje inny nakreślony przy pożegnaniu ręką pana Edwarda w témże album:

Wy co mnie wiodąc po Rzymu pamiątkach
Polki urocze jak Polski wspomnienia,
O sławie rzymskiéj, i o rzymskich szczątkach
Jak z ksiąg Sybilli uczyły z kamienia.

Znacie wy róże rozkwitłe wieńcami,
Na Cezarskiego dawniéj gmachu szczątkach;
Jako te róże, chwile com żył z wami,
Kwitnąć mi będą na Rzymu pamiątkach!

Dziecinne masz lice, pisze Adam, lecz stara mądrość świeci na twém czole! W tych słowach mamy obraz Ewuni. Patrząc na nią dziś jeszcze, łatwo nam odgadnąć jaką była. Drobna, powiewna, delikatna, z białą jak lilia cerą, z włosem ciemno popielatym, z błękitnemi oczyma, z myślą wypiętnowaną na czole, miała w sobie ten właśnie idealny urok, który mógł przyciągnąć wyobraźnię i serce poety. Adam znajdował w niéj podobieństwo do drezdeńskiéj Magdaleny Corregia. Kupił też rycinę z owego obrazu, miał ją u siebie, patrzał na nią z upodobaniem.

Ten szczególny urok jaki Ewunia na nim wywierała, skreślił Adam w powieści Jacka Soplicy, gdy w oburzeniu na Horeszkę, nieraz ściskał pięścią głownię karabeli:

Ale Ewa zważając mój wzrok i mą postać
Zgadywała nie wiem jak, co się we mnie działo,
Patrzyła błagająca, lice jéj bledniało;
A był to taki piękny gołąbek łagodny,
I wzrok miała uprzejmy taki! tak pogodny,
Taki anielski, że już nie wiem, już nie miałem
Odwagi zagniewać jéj, zatrwożyć, milczałem.
I ja zawadyaka sławny,
Co przedemną największe pany niegdyś drżały,
Co we wściekłość najmniejsza wprawiała mnie sprzeczka,
Ja wtenczas zły i pijany, milczał jak owieczka,
Jak gdybym Sanctissimum ujrzał!...

I daléj maluje znów jéj obraz:

Ach! gdyby ona była jak nasze szlachcianki
Silna i zdrowa, gdyby ucieczki, pogoni
Nie zlękła się, i mogła słuchać szczęku broni;
Lecz ona biedna! tak ją rodzice pieścili.
Słaba, lękliwa — był to robaczek motyli,
Wiosenna gąsiennica!

Taką była Ewunia, taką ukochał ją Adam, a ukochał gorąco. W ostatnich dniach pobytu w Rzymie, zachorował nawet dość mocno, w skutek zapewne wewnętrznéj walki. Ewunia wiedziała o chorobie; serce jéj odgadywało powód. Wiedziała także, iż pan Edward niespokojny o przyjaciela, miał otwartą rozmowę z matką. Biedna matka, pragnęła szczęścia córki; inaczéj zapewne pojmowała to szczęście niż je pojmował dumny ojciec, ale działać nie było w jéj mocy.

Hrabina powierzyła wszystko Bogu, sama zaś starała się jak mogła osłodzić Adamowi przykrości jakie znosił od męża. Dnia jednego, przegrawszy jakiś zakład, posłała mu piękny portfel na papiery, panu Edwardowi zaś paczkę cukierków. Ewunia chowa odpowiedź dwóch przyjaciół. Pan Edward podziękowawszy za cukierki dodaje: „odpowiadam na pytanie panny H., iż w chwili odebrania listu, Mickiewicz nie miał przy sobie koloru nadziei.“

Ściąga się to do gry w zielone, w którą Ewunia bezustannie grywała z Adamem.

W tym liście czytamy dopisek, skreślony ręką Mickiewicza:

„Dziękuję nieskończenie memu szczęściu i pani hrabinéj za piękny portfel. Pannie H. mam honor pokornie oświadczyć, że u nas, nie godzi się grać z damami w żadną grę przez posły. Ilekroć zechce się przekonać o mojéj pamięci, niech mi raczy rozkazać, abym stawił się osobiście, a przysięgam na wszystko co zielone, od myrtu aż do pokrzywy, że o każdéj z dwudziestu czterech godzin znajdzie u mnie kolor nadziei. Edwardowi wierzyć nie można; ucukrował świeżo usta z łaski pani, jest więc świadkiem przekupionym. Mamy nadzieję, że dziś u państwa wszyscy zdrowi i jednostajnie na nas łaskawi.

Najniższy i najzieleńszy sługa
Mickiewicz.“

(C. d. n.)

Rewolucya w Paryżu.

(Z ryciną.)

Wprzód nim podamy szczegółowy opis wypadków ostatnich w Paryżu, przytaczamy wyjątek z listu prywatnego, malujący ogólną fizognomię miasta. (Przyp. Red.)

. . . .

.....„Trudno pojąć w jakim tu żyjemy chaosie. Paryż strojny, ludny, gwarny i wesoły, Paryż taki jakim ty go znałeś, dawno nam utonął w pamięci. Mieszkam w sąsiedztwie najwięcéj rewolucyjnych części miasta, na Batignolles. Chociaż bieda mi dokucza, z pokoiku mego na krok prawie nie wychodzę, bo wstrętnem i przerażającém jest to co się na ulicy spotyka. Nieledwie z twarzy byłbyś zdolny rozklasyfikować ludzi porządku od komunistów. Ci pierwsi smutni, widzisz w ich oczach boleść i przestrach zarazem — drudzy w namiętności, nie powiem weseli, chyba żebyś chciał nazwać śmiech obłąkania weselem, ale dzicy.

Wczoraj wieczorem, po kilkodniowém dobrowolném więzieniu wyszedłem na spacer. Ulice puste, od czasu do czasu spotykasz tylko różnorodnie ubranych gwardzistów z doboszami na przodzie, spieszących na punkta zagrożone wojskami wersalskiemi. Co jest najdziwniejsze, że kobiety w walkach tych udział biorą. Rozmawiałem z jedną. Mówiła mi, że ma męża na barykadach, i chociaż sama niema ochoty głowy za komunę położyć, ale przy wojsku śmiercią przynajmniéj głodową nie umrze. Ciągły huk armat spać mieszkańcom niedaje — dnie i noce całe domy się trzęsą i szyby brzęczą. W przechadzce mojéj spotkałem na Chaussée D'Antin ambulans wracający z pod bramy Maillot. Przechodnie na widok ofiar bratobójczéj wojny zgrzytali zębami — ale wyrazem nikt oburzenia swego nie manifestował, bo komuna z takim nieżartuje.

Com przez rok ten widział i na co dziś patrzę, wszystko to snem strasznym mi się zdaje. Czy przypominasz sobie przechadzki nasze po polach Elizejskich? Smutno w duszy było, ale widok tyle cudów, oko i umysł rozrywał. Owe wille w kasztanowych i cytrynowych aleach, dziś w gruzach! — prawie wszystkie Avenue od strony bramy tryumfalnéj z ziemią zrównane! Vaugirad i Plaisanse pod strzałami wersalczyków! Kolumnę Vendome zastąpi drzewo wolności, alias szubienica! Jestem zbity, zwątpiały i zniechęcony do życia. Na stan ten nietylko wpływa położenie osobiste, ale i to

wszystko, na co par force des circonstances patrzeć jestem zmuszony. A tu jeszcze i końca nie prędko spodziewać się można. Byłem parę dni temu w szkole na Batignolles. Poczciwy Malinowski nie wie co daléj ma począć — zrozpaczony — ale na ustach zawsze ten sam łagodny uśmieszek, który uczniom i nauczycielom otuchy dodaje. Wszystko to jednak zdaje się napróżno. Niektórzy z naszych opuszczają miasto — nie wielu takich, bo kieszenie puste. Co daléj?! Co daléj?! Ale dosyć téj jeremjady. Chciałbym ci coś wesołego powiedzieć, ale humor posłuszeństwo wypowiada i t. d....

GAWĘDY Z MIASTA.

VI.

Drogi Władziu!

Rozmarzony i tęskny błądziłem właśnie po Wilhelmowskim placu, nucąc z cicha smętną melodyę z „Żydówki", gdy nagle ujrzałem przed sobą parę modrych, dobrze znanych mi oczu i prześlicznie uśmiechniętą twarzyczkę.

— Panie Toujours le Même — zawołało wesoło złotowłose zjawisko — powracam na wieś, gdzie się strasznie nudzę... zlituj się Pan nademną i napisz „Gawędę".

To mówiąc, spojrzała na mnie z ukosa tak figlarnie, że nie mogąc się oprzeć jéj wzroku wdziękowi, odparłem pokornie:

— Pani, każde Twe życzenie jest dla mnie rozkazem... Ale wyznaję szczerze, że „brak mi funduszu" na stworzenie „Gawędy" z niczego, a w salonach naszych po wyjeździe „Rusałek" głucha zaległa cisza...

— „Dajże Pan pokój" wymówkom — przerwała śpiewnie. Ja chcę mieć „Gawędę" i mieć ją muszę.

— A więc niech się stanie wola Twoja, Pani, przecież pod jednym warunkiem...

— Pod jakim? zapytała spiesznie.

— U boku Pani widzę przyszpilony bukiecik fiołków. Po konwalii jest to mój kwiat najulubieńszy. Zechciéj mi Pani dać jeden z Twych fiołków a w zamian otrzymasz odemnie — „Gawędę".

. . . .

Dzień mija po dniu od chwili tego spotkania, mój fiołek już usechł całkiem, zamknięty w wspomnień świątyni, a ja drogi Władziu, napróżno jeszcze się wysilam i męczę, by zadość uczynić memu zobowiązaniu. Znasz wszakże moją, dziś niestety coraz mniéj szanowaną zasadę: Noblesse oblige. Choć więc z góry przekonany jestem, że zrobię w obec czytelniczek potężne fiasco i nie będę zabawniejszym od innych kronik, zabieram się do skreślenia Ci dziejów ostatnich tygodni, korzystając z chwilowego osierocenia i deszczowéj pory.

* * *

Kto przed laty znał Poznań, kto pamięta tę niemiecką sztywność jego mieszkańców i na pruski wzór umodelowaną systematyczność jego codziennego żywota, ten by go zaledwie poznał dzisiaj. Miasteczko nasze wre życiem, kipi jakimś wewnętrznym fermentem. Walka stronnictw odbija się na każdém miejscu, interes dla sprawy publicznéj oddziaływa wszędzie, przejęcie się ruchem ogólnym ku podniesieniu ducha narodowego pulsuje tak silnie, jak nigdy. Nie jestem z natury zwolennikiem zbyt gwałtownych wstrząśnień, a jednakże mimowolnie podziwiać muszę zręczność tych, co odrętwiałość naszę na wpół niemiecką przełamali, dolewając krwi młodzieńczéj do zmartwiałego przedwcześnie organizmu. Gdziekolwiek dziś wstąpisz, czy to do prywatnego domu, czy do cukierni, kawiarni lub winiarni, wszędzie napotkasz rozmowę o kwestyach, szersze obchodzących koła, a to zawsze pocieszającém jest znamieniem. Bez życia w piersiach nie ma przyszłości, bez zamiłowania do spraw publicznych żadna dojrzeć nie zdoła. Witam więc z radością tę nową erę, bo jakkolwiek wątpię, by chwilowo przyniosła nam pożądany pożytek, pewny jestem, że, jak wino węgierskie, gdy się ustoi, pozostawi nam w spadku lagier wyborny, na który świeże dla przetrawienia dolewać będziem żywioły.

Minęła agitacya wyborcza, przebrzmiała walka „narodowców" z „ultramontanami", ukoronowana upadkiem niespożytéj kandydatury hr. Stefana Kwileckiego i pokutą w Osiecznie zacnego ks. Bilińskiego; zapomniano o zamierzoném wydawnictwie poznańskiego Monde'a, ale na gruzach tych ważnych kwestyi żywotnych wzrosły nowe, mianowicie połączenie dwóch naszych Towarzystw przemysłowych i Związek wszystkich spółek pożyczkowych Księstwa i Prus Zachodnich. Pierwsze przyszło szczęśliwie do skutku, uświetnione wspólną w Starym Przemyśle wieczerzą, na któréj najżarliwsi wrogowie w imię dobra Ojczyzny, tego hasła, co w każdym uczciwym Polaku wszelkie inne namiętności zaciera, bratnie podali sobie dłonie; drugi nastąpił także, choć po burzliwym nieco sejmiku, w którym wzięli udział reprezentanci wszystkich niemal ziem dawnéj rzeczypospolitéj. Nagadano się dużo i niejeden prysł gąsior węgrzyna śród najroskoszniejszéj harmonii. Ale jak to zwykle u nas przy podobnych bywa przeobrażeniach społecznych, nazajutrz, gdy przystygł zapał, wywołany winem i chwilowym wyższym ducha nastrojem, poczęły jak grzyby wyrastać osobiste ambicyjki. „Panie Dobrodzieju — mówił p. Antoni do pana Wojciecha — mnie się zdaje, że w tém wszystkiem główną odgrywa rolę interes własny pana Kalasantego... Co mówisz, sąsiedzie?..." „Oczywiście, szanowny Antosiu — odparł zapytany p. Wojciech — ja już oddawna podejrzywałem, że p. Kalasanty na swój młyn wodę prowadzi. Wszakże on mnie nieraz odmawiał kredytu a dawał go panu Piotrowi, z którym w tajnéj podobno zostawał spółce." „Łotr, Panie Dobrodzieju, i basta — nie chce Związku, bo się obawia kontroli..." „Co to za szalone innowacye — szeptał znowu na ucho p. Maciéj p. Bartłomiejowi — wszystko chcą do góry nogami przewracać, by sami przyszli do steru. Przysiągłbym, że cały ten projekt wymyślili dla tego, by bank pana Mieczysława zagarnął pod swe pazury wszelkie kapitały. Nam było dobrze po dawnemu, a oni ni ztąd ni zowąd chcą inny zaprowadzać porządek. Dalibóg, wykreślę się ze Spółki i wezmę akcyą nowego Towarzystwa, które ot tak sobie między przyjaciółmi założymy." „Święta racya, panie Macieju — odpowiadał p. Bartłomiej — gdzie Ty, to i ja z Tobą, dwa ciała jedna dusza. Ale panu Kasprowi, co piwa nawarzył i za naszemi plecami knował przeciw nam spiski, darować nie można. Wyzwę go na rękę!" „I ja téż" — wrzeszczał p. Maciej i jako rzekli, tak uczynili...

Śród tak wojennego umysłów wzburzenia, Bogu wiadomo, jakich strasznych katastrof miasto nasze byłoby świadkiem, gdyby nie wypadek całkiém nadspodziewany, który w inną stronę skierował uwagę powszechną. Pomiędzy trójcą naszych ojców ongi, jak utrzymują Niemcy, polskiego grodu a gromadą jego prusko-żydowskich ojczymów, przyszło do żwawéj na słowa utarczki z powodu installacyi nowego burmistrza. Reprezentanci nasi uznali za stósowne odwrócić się tyłem do ludzi, którym ręki bez narażenia własnéj godności podawać już nie mogli. Publiczność polska głęboko uczuła tę zniewagę, ale tém boleśniéj dotknął ją w kilka dni późniéj niefortunny toast, wzniesiony przez jednego z pierwszorzędnych członków Towarzystwa przemysłowego na cześć germanizatora szkół naszych miejskich... Daleki jestem od wszelkiej osobistości, ale krok ten obywatela zkądinąd wielce szanownego, policzyć muszę zaiste, na karb rozlicznych wiwatów, jakie poprzednio na pożegnalnym bankiecie, dawanym dla byłego nadburmistrza naszego, prawdopodobnie wychylono w kole biesiadników, głównie z nie-Polaków złożoném. Inaczéj niepodobna mi wytłómaczyć tego lapsus calami, bo w złą intencyą z góry nie wierzę... Koniec

końcem aferka ta, o której nie chcę dalej się rozwodzić, stłumiła urazy wywołane sejmikiem pożyczkowym, a pierwsze walne zebranie akcyonaryuszy „Teatru polskiego w ogrodzie Potockiego“ do reszty zatarło przykre wrażenia. I tu wszakże nie obyło się bez agitacyi. Wybór rady nadzorczéj nastręczał do niéj szerokie pole. Dość Ci powiedzieć drogi Władziu, że u Sobeskiego na kawie aż trzy jednocześnie wciśnięto mi w rękę karteczki z imionami kandydatów do téj nowéj godności. „Komuna zwyciężyła!“ mówiono mi z westchnieniem na Resursie po odbytém głosowaniu; „Pan Mieczysław górą!“ szeptali inni na Kołku, i sądzę, że ci ostatni nie minęli się z prawdą. U nas ludzie wybitniejszych zdolności i energiczniejszego charakteru mają swe epoki. Upadły Ateny i Sparta, runął Rzym wszechwładny, gdy do nadzwyczajnéj doszedł potęgi; tak i w miasteczku naszém wzbijają się nagle pojedyńcze indywidua w górę, by zawładnąć wszystkiém, i znów w proch się rozbijają, gdy ich wielkości pora przeminie... Niejednokrotne mieliśmy tego w ostatnich nawet latach przykłady! Cześć wszakże temu, co ustępując z areny publicznéj, pozostawia po sobie dzieła, uwieczniające jego wspomnienie w pamięci ogółu... Ulatniają się wtedy osobiste niechęci a pozostaje na spodzie serc uczciwych — szczera wdzięczność!...

* * *

Rozbudzone życie narodowe odbiło się w tym roku w Poznaniu i w czasie świąt wielkanocnych. Tradycyjne „Święcone“, jak je obchodzą Warszawa, Lwów i Kraków, nieznane było dotąd u nas. Prócz Pałacu Działyńskich, gdzie rok rocznie zastawiano stoły dla wszystkich, co chcieli zakosztować jajka w gościnnym ale mało odwiedzanym domu magnackim, każdy zasklepiał się w rodzinném ognisku i spożywał placki, kiełbasy i szynki w szczuplejszém krewnych i najbliższych przyjaciół gronie. Tą razą, dzięki temu dziwnemu impulsowi, który ożywcze wlał w nas soki, widziałeś całe szeregi biesiadników, odbywające wesołą pielgrzymkę z miejsca na miejsce, by w każdém podzielić się święconem z uprzejmém gospodarstwem. W wielu miejscach raczono gości wspaniale; płynął węgrzyn i szampan, nikły w okamgnieniu olbrzymie szynki, polędwice, faszerowane indyki i głowizny, obok „idealnych“ babek i przypominających lepsze a minione już czasy „mazurków“, znanych dziś pod nieśmiertelną nazwą „pani Suchodolskiéj“... Najciekawsze też przy święconém zdarzały się spotkania. Mówiono mi, że przy jednym stole po dziesiątym kielichu padł pełen rozczulenia w objęcia podżyłéj Torunianki młodzieńczy Orędownik. Gdzieindziéj dzielił się po bratersku kawałem wonnéj kiełbasy Tygodnik Wielkopolski z Sobótką. Uszczypliwy kronikarz Dziennika razem z biednym Gawędziarzem, a Twoim drogi Władziu, przyjacielem, wspólnie zaprawiał sos musztardowy; „Tellus“ wreszcie z Bankiem Potockiego pochłonęli do współki przy placu Sapieżyńskim całego indyka. Zgoda i pojednanie pomiędzy wszelkiemi obozami były najzupełniejsze... Daj Boże, by na długo!...

* * *

Nie omyliło mnie, drogi Władziu, przeczucie, gdym przyobiecując modrookiéj „przyjaciółce“ Gawędę, z góry zapowiadał, że jéj rozweselić nie potrafię. Jak Anglik cierpię nieraz na melancholią, a gdy ona mnie przytłoczy, naprożno bym usiłował do śmiechu nastrajać usta. Z natury lekki i pusty, czasami mam chwile dziwnego smutku i tęsknéj powagi. Zdaje mi się, że dusza moja w inne uleciała strony i nic nie ma wspólnego z światem, który mnie otacza.

Sierocie od dziecka nieraz brzmi w takich chwilach żałosny wierszyk Adeli Hanickiéj:

Nad smutki ziemi cięższa tysiąc razy
Samotnéj duszy tęsknota,
Nad wszystkie jęki, wszystkie łez wyrazy
Smutniejszy wyraz: Sierota!

I wówczas mimowoli dośpiewuję w myśli końca piosenki:

Wy, którym świeci w raju rodzin własnych
Miłości światło niebieskie,
Bogaci szczęściem — z łona uciech jasnych
Darujcie sierocie — choć łezkę!

Otóż i dziś, drogi Władziu, czuję się bardzo osamotniony i wzdycham do szczęścia, które nie dla mnie, sieroty, stworzone. Nie dziw zatém, że do żartów wesołych nie mam myśli wolnéj i że, w którąkolwiek uderzę strunę, zawsze tylko poważny ton z niéj wydobywam. Bo też pusto i głucho tam właśnie, gdzie zwykłem był czerpać otuchy i rozrywki. Z okien złotego salonu zrzadka tylko zajaśnieje światło i uderzą dźwięki przecudnéj muzyki; „bogini Śpiewu“ uleciała daleko w nadwiślańskie strony; „Niezapominajka“ błądzi po Pradze, Wiedniu i Krakowie; „Rusałki“, żegnane łzami wiosennego nieba i odprowadzone na dworzec kolei przez liczne grono przyjaciół, popłynęły nad genewskie jezioro, pozostawiając szczery żal po sobie u wszystkich, co je bliżéj mieli szczęście poznać; hr. Edward uciekł przed ospą do wiejskiego zacisza, nie pożegnawszy nawet w przelocie przez Poznań najserdeczniejszych przyjaciół; poczciwego Gioseppę pognały ważne sprawy w odległą, zachodnio-pruską pustynię; milutki wreszcie „porucznik“ co drugi niemal dzień potajemnie z miasta się wymyka, wykupując wszystkie najpiękniejsze u p. Sobeskiego bonboniery... Słowem, tam, gdzie było można odetchnąć swobodniejszém życiem, dziś naprożno byś go szukał. Czasami tylko jeszcze błyśnie w południowych godzinach na alei para czarujących oczu, by niebawem zniknąć, jak to ulubione snów młodzieńczych widziadło, które się w chwilach natchnienia pojawia i wnet tonie w mgle rzeczywistości... Na domiar nieszczęścia i teatr nas opuścił po dwóch wspaniałych ostatnich występach pana Rychtera, w Skąpcu i Wujaszku całego świata, z których mianowicie ostatni pozostawił mi wrażenia, jakich nawet czas w pamięci mojéj przenigdy nie zatrze... Takiéj rozkoszy nie zaznałem jeszcze w mém życiu!

* * *

Kończę drogi Władziu, doniesieniem, które zapewne z całéj mojéj Gawędy będzie Ci najpożądańszém. Na wełniany jarmark i kontrakty św. Jańskie zanosi się w naszém miasteczku na ruch od dawna niepamiętany. Znana Opiekunka naszych ubogich urządza, jak się właśnie dowiaduję, dwa koncerta czy przedstawienia amatorskie, w których kwiat płci pięknéj przyrzekł wziąść udział. Być może, że ujrzymy także obrazy żywe. Podsłyszałem coś o dziewięciu muzach, ale musiałem się zakląć, że tajemnicy nie zdradzę. W hotelu przy ulicy Berlińskiéj zapowiedziane są podobno dwa świetne wieczory, a młodzież przygotowuje w zamian dwa bale w Bazarze i kilka podwieczorków w Dębinie. Widziałem już przepyszne konie wierzchowe, które w tym celu do Poznania przybyły. Pan Nowakowski wystąpi w dniach zjazdu z najświeższemi nowaliami dramatycznemi, a Chevet sprowadza ze względu, że wełna znakomicie płaci, słynnego z Paryża kuchmistrza, którego komuna wypędziła jako zbyt arystokratycznego dla republikańskich żołądków. U nas znajdzie się mąż ten w swoim żywiole.

Do zobaczenia zatém w początkach Czerwca!

Twój niepoprawny

Toujours le Même.

Szarada.

Pierwsza i trzecia do gry zwykle wchodzi,
Drugą i trzecią ma się czasem w klatce,
Czwartą wspak robią w fabrykach i w chatce,
Całe zaś służy wszelkiéj notatce,
Chowa się w kieszeń, albo też w szufladce.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 19: ***Bismark.***)

Korespondencye Redakcyi.

Siostrze Klapsydrze w zaciszu klasztornem: Za nadesłanie tłomaczonéj novelli pani Eugenii Foa serdecznie dziękujemy. Tłomaczenie złe niebyłoby, ale osnowa novelli za mało zajęcia przedstawia, żebyśmy ją drukować mogli. Czybyś niezechciała Pani użyć mozolnéj pracy tłomaczenia na przedmioty mające więcéj literackiéj wartości? Łamy pisma naszego będą dla niéj otwarte. Manuskryptów żadna redakcya niezwraca — my tym razem robimy wyjątek. — Panu Chochlikowi z miasta: Humorystyczny wiersz nie jest odpowiedni pismu naszemu. Diabeł i Coś w Krakowie, albo Szczutek we Lwowie, chętnie go przyjmą. — Panu Wołodemu Skibie w Krakowie: O obiecane prace i szarady raz jeszcze się przypominamy.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Spółki. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel.)